

O RUCHU OPORU W FÜNFTTEICHEN

Transport kolejowy do obozu Gross-Rosen liczył na st. kol. Radom ok. 30 wagonów towarowych okratowanych, w tym "więźniarka", specjalny wagon do przewożenia więźniów. Załadowano mnie 17 maja 1944 r. do tej właśnie "więźniarki", w której jechało już z innej stacji, prawdopodobnie z Dębłina, 5 wyższych oficerów radzieckich w mundurach. Do Gross-Rosen dojechaliśmy 20 maja 1944 r. Było nas w tym transporcie ok. 1500 więźniów. Na ulicach miasteczka nie było ani jednego człowieka; mieszkańcy przyglądali się nam z ukrycia, zza firanek w oknach.

W samej centrali obozu Gross-Rosen przebywałem tylko tydzień, pracując w kamieniołomach. Korzystając z ogłoszonego werbunku do fabryki, podałem się za ślusarza i ok. 27 maja wyjechałem na komando do Fünfteichen, gdzie pozostałem do 27 stycznia 1945 r. /może do 25 stycznia - nie pamiętam dokładnie/. W centrali Gross-Rosen spotkałem się z kilkoma znajomymi z konspiracji, w tym: z Włodzimierzem Chojnackim z Garbatki k. Radomia, studentem medycyny, który po 3 latach pobytu w Oświęcimiu został tu przeniesiony, na tzw. rewir, jako pielęgniarz. Po powrocie z obozu uzyskał w ciągu roku dyplom lekarza w Krakowie. Ze Sławkiem Łuczynem, synem fotografa z Garbatki k. Radomia, który później był również ze mną w Fünfteichen. Był to chłopiec w wieku 19 lat. Z Pawłem Morgaźło, z którym w roku 1939 wyruszałem na front w składzie 9 pp leg. Zamość, a który niestety teraz pełnił w obozie funkcję blokowego na bloku tzw. Gamli /inwalidów/ i znany był jako "krwawy Paul". Mordował bowiem własnoręcznie więźniów, w tym również mojego byłego dowódcę z 9 pp leg. Zamość, mjr. Fieła. Ponadto zetknąłem się z Budulekim /imienia nie pamiętam/, późniejszym prezydentem miasta Radom. Z jego siostrą Ireną Budulską przebywałem w więzieniu gestapo w Radomiu /została zesłana razem z naszym transportem i wywieziona 17 maja 1944 do Rawensbrück/. Natomiast w Fünfteichen byłem ze Zbigniewem Szczepaniakiem /lub Szczepańskim/ i z wspomnianym wyżej Sławkiem Łuczynem z Garbatki. Innych więźniów znałem tylko z imion. W październiku 1944 poznałem przez naszą obozową konspirację zorganizowaną przez pułkownika Hynka, słynnego przed wojną baloniarza. Przyjechał transportem "zugangów" z Montelupich, w Krakowie nosił trupy z rewiru/. Nigdy nie przyjął żadnej pomocy od współwięźniów. Był bardzo ambitny. Przez niego próbowałem listownie zawiadomić rodzinę, gdzie jestem, gdyż sam, mając tzw. postspere, nie mogłem ani wysyłać listów, ani otrzymywać paczek. Nie pamiętam dokładnie numeru bloku w Fünfteichen ani nazwiska blokowego. My nazywaliśmy go "Ferdynand". Pamiętam jednak dokładnie jego wygląd: tęgi, opasły Niemiec o czerwonej twarzy, z usposobienia choleryk, znany w obozie pederasta. W złości zabijał więźniów. Na sąsiednich blokach byli Polak Nowakowski z Radomia i Niemiec z zielonym winklem, znany u nas "Al Capone", najbardziej ceniony przez esesmanów.

W Fünfteichen działała skutecznie organizacja podziemna, do której od początku należałem. Zadaniem jej było zdobywanie wiadomości frontowych i podtrzymywanie na duchu załamujących się więźniów. Jak wiadomo, w obozie panowało wieczne milczenie, które działało deprymująco nawet na silnych psychicznie. Postanowiliśmy

i na tym odcinku zadziałać. Z mojej inicjatywy w dniu 15 sierpnia, a więc w Święto Wojska Polskiego, wyszliśmy na apel poranny o kilkanaście minut wcześniej i po raz pierwszy zaśpiewaliśmy wojskową pieśń modlitewną "Pod Twoją Obronę". Już następnego dnia poszły naszym śladem dwa najbliższe bloki. Śpiew było słychać w całym obozie, a mimo to, ku naszemu zdziwieniu, nikt z Niemców nie zareagował, natomiast nastrój w całym obozie wyraźnie się poprawił. Pod koniec tygodnia już prawie wszystkie bloki również śpiewały na apelu wieczornym "Wszystkie nasze dzienne sprawy". Wreszcie zainteresowali się tym esesmani. Wyczytano trzy numery na apelu porannym, w tym również mój Nr 36057, oświadczając, że zostajemy na bloku a potem jedziemy do krematorium do Gross-Rosen. Może to dziwne, ale wyszedłem z szeregu raczej z radosnym wyrazem twarzy i wtedy podbiegł do mnie esesman i, kopnąwszy kilka razy, kazał wstąpić do szeregu. Na bloku wieczorem otrzymałem od blokowego 10 pałek i kilka kopniaków, po których chorowałem.

W Günfteichen pracowałem w zakładach Kruppa "Bertha Werke" jako ślusarz na montażu armat od ok. 25 maja 1944 do 27 sierpnia 1945 r., w tym pobyt na rewirze od 26 grudnia 1944 do ok. 27 stycznia 1945 r. Jak mi się wydaje, na hali fabrycznej, jednej z kilku w zakładach Kruppa, pracowało wraz ze mną około 2000 heftlingów i około 500 pracowników cywilnych. Z obozu do fabryki było około 3 km drogi. Z pobytu w fabryce zapamiętałem wizytę Kruppa /chyba Alfreda/ w otoczeniu licznej generalicji. Krupp był wtedy w białym mundurze. Od tego dnia dostawaliśmy pajdkę chleba więcej, a także wydano nam czapki bawełniane - pilotki zamiast obozowych beretów. Na moim sztyfie-montażu pracowało najwięcej oficerów radzieckich. Byli oni prawdopodobnie w kontakcie z wywiadem, Niemcami nadzorującymi pracę i chyba przekonani lewicowych, gdyż przez nich otrzymywaliśmy zawsze wiadomości frontowe, i to prawdziwe. Na naszym sztyfie dzięki przyjaznym stosunkom rosyjskich heftlingów z majstrem, który według mnie musiał być komunistą, oficerowie radzieccy otrzymywali w drodze wyjątku na fabryce zupę, pozostałą w kotłach pracowników cywilnych.

Pracując w konspiracji obozowej byłem jednym z organizatorów ucieczek głównie z fabryki, a nie z obozu. Ucieczki organizowane były dla indywidualnych więźniów lub dla grup 3-4 osobowych. Do pewnego czasu udawały się ucieczki w załadowanych wiórami stalowymi pociągach, w odkrytych wagonach. Wióry ładowali ochotniczy więźniowie, a nadzorowali esesmani. Korzystając z ich nieuwagi, więźniowie wskakiwali na wagony, a pozostali szybko zakrywali ich wiórami. Esesmani sprawdzali wagony przed wyjazdem z hali tylko z wierzchu. Dzięki temu udało się uciec kilkunastu więźniom politycznym /wyłącznie/. Ta najłatwiejsza droga ucieczki została jednak wkrótce wykryta. Inne ucieczki, pojedyncze, to wyjścia kanałami CO /miały prefabrykowane płyty wierzchnie/ głównie w czasie alarmów lotniczych. Przez tych uciekinierów, którym udało się zbiec na początku wagonami, nawiązaliśmy kontakt z Polakami we Wrocławiu. W miesiąc potem dowiedzieliśmy się od pracowników cywilnych, że gestapo wrocławskie szaleje, gdyż ktoś podszył się pod ich "szyld" i samochodem wjechał w mundurze oficera gestapo na teren fabryki, przedstawiając na piśmie żądanie wydania 4 więźniów /konkretne nazwiska/, rzekomo na przesłuchanie. W tej sprawie dochodzenia na naszej hali jednak nie było, przynajmniej wśród więźniów.

Do ucieczek nieudanych należały głównie desperackie ucieczki z obozu przez druty lub w czasie przemarszu do fabryki. Z reguły

kończyły się one zastrzeleniem uciekającego. Trupa rozbierano potem do naga, wieszano na bramie obozu z kartką na piersiach "ich bin wieder da" i kazano nam przed nim defilować przy dźwiękach orkiestry obozowej.

Od ok. 2-3 sierpnia nikt nie odważył się w obozie nie tylko zaśpiewać, ale nawet głośno mówić. Wreszcie niespodziewanie 24 grudnia rano Niemcy sami przynieśli na nasz blok choinkę. Myśleliśmy, że to prowokacja, ale sprawdziliśmy, że na innych blokach też były choinki. W tym dniu pracowaliśmy w fabryce na nocnej zmianie. Zebraliśmy się więc pod choinkę /wszystkie narodowości/ na godzinę przed apelem wieczornym i rozpoczęliśmy śpiewać kolędy; najpierw Polacy, potem inni i wreszcie Niemcy zaśpiewali swoją "Stille Nacht". Blokowy był niemal kompletnie pijany i śpiewał najgłośniej.

Gdy mieliśmy już iść do pracy, ktoś z nas zaczął, a wszyscy ryknęli pełną pierśią "Jeszcze Polska nie zginęła". Nikt z Niemców nie zareagował, choć wiedzieli, że wszyscy Polacy, śpiewając, płaczą. Ktoś jednak doniósł o tym do SS. W pierwszy dzień po świętach przyszło ich dwóch na nasz blok. Blokowy zrobił zbiórkę całego bloku, na środku sali postawił taboret, kazał mi się położyć i liczyć uderzenia pałką do 25 razy. Jak się później dowiedziałem od kolegów, doliczyłem do 17 i zemdlałem, a mimo to blokowy bił mnie dalej. Potem, rozebranego do naga, bez znaku życia, wywieziono mnie na podwórze przy rewirze i wyniesiono na stos trupów oczekujących na transport do krematorium. Rano przyszli leichentregerzy, w większości Żydzi - lekarze węgierscy z ostatniego zugangu oraz kilku innych, a wśród nich również pułkownik Hynek, i zaczęli ładować trupy na samochód ciężarowy. Hynek, widząc, że ja żyję, porozmawiał z lekarzem węgierskim i razem wynieśli mnie na rewir, na salę tzw. Lungenentzündung /zapalenie płuc/. Tu ten sam lekarz zrobił mi autochemoterapię, czyli przestrzyknięcie mojej własnej krwi, i tak przeleżałem do ok. 21 stycznia 1945 r., kiedy to dowiedzieliśmy się, że obóz będzie ewakuowany i że chorzy z rewiru mogą udać się też na ewakuację. Nikt jednak nie poszedł, gdyż to byli już dogorywający więźniowie. Przez kilka następnych dni dawano nam tylko raz dziennie zupę, aż wreszcie ok. 25 stycznia zjawili się w rewirze żandarmi obwieszeni granatami. Baliśmy się, że to będzie likwidacja chorych, ale zażądali tylko, by ci, którzy mogą chodzić, zeszli z łóżek do grzebienia w śniegu trupów, których stosy leżały przed blokiem rewiru, gdyż nie odwożono ich do krematorium obozu Gross-Rosen od kilku dni.

Następnego dnia zapanowała w obozie zupełna cisza, ale nikt też nie podał nam już nawet zupy. Trzech z nas wyszło na rekonesans. Doszliśmy aż do kuchni SS, ale i tam nikogo nie było. Wróciliśmy na rewir ze skrzynką marmolady i kilkoma kartoflami, proponując kolegom opuszczenie obozu, gdyż każdej chwili spodziewać się można było powrotu Niemców. Okazało się, że tylko siedmiu może chodzić. Obwijając nogi szmatami /buty odebrano nam przy wejściu na rewir/, wyszliśmy poza druty w głęboki śnieg i wlekliśmy się tak ok. 8 godzin. Nagle usłyszeliśmy serię pocisków nad głowami. Około 200 m od nas stali żołnierze w papachach i wołali po rosyjsku, żeby podejść bliżej. Dowiedziawszy się, że wśród nas nie ma ani jednego ruskiego, wzięli nas za szpiegów niemieckich i posłali pod ściankę. Po dłuższym tłumaczeniu zamknięto nas w piwnicy baraku i postawiono wartownika. Dzięki następującej nocy udało nam się uciec z piwnicy i teraz dopiero zorientowaliśmy się, że idziemy pod front. Unikaliśmy następnych spotkań z żołnierzami,

idąc polami i lasami na Nemslau-Kreuzburg-Rosenberg. Z Nemslau /chyba nasz Namysłów/ szło już tylko nas dwóch w kierunku na Częstochowę. Przy ul. Wieluńskiej, przed wejściem do Częstochowy, zostaliśmy aresztowani, gdyż byliśmy chyba pierwszymi więźniami wracającymi z obozu. Zwolnienie po jednym dniu zawdzięczam koledze, który przed aresztowaniem przez gestapo mieszkał w Częstochowie i którego rodzina udowodniła, że był w Gross-Rosen więźniem politycznym.

2 lutego 1945 r., korzystając z pociągów towarowych, przyjechałem do Radomia do rodziny. Chorowałem potem prawie cały rok.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.20